

Triumf liberalizmu?*

Pani Ewa Milewicz tak oto pisze w związku z pomocą państwa dla Stoczni Szczecińskiej i ostatnio ostrowskiego Wagonu: „Taka pomoc, jak i stypendia dające ludziom szansę na studia wyższe, to nie przejaw lewicowości ani wrażliwości społecznej, ani niczego równie haniebnego. To tylko pragmatyzm” („Gazeta Wyborcza” z 2 września 2003). Nie jestem pewny, czy słówko „haniebne” ma być przejawem gryzącej ironii, czy tylko ostrzeżeniem poglądu na temat „wrażliwości społecznej”. Jeśli to rodzaj żartu, jest on po prostu głupi. Tak samo, jak głupie jest traktowanie z całą powagą mitów o „świętej i nietykalnej własności prywatnej” i o „niewidzialnej ręce rynku”. Historyk dobrze wie, co sądzić o świętości i nietykalności własności prywatnej i jakim przejawem nieuctwa jest tu na przykład odwoływanie się do „wspaniałej tradycji zachodniej stworzonej przez prawo rzymskie”. A znakomity ekonomista (*nota bene* laureat ekonomicznego Nobla za rok 2001, Amerykanin) konstatuje ironicznie, że niewidzialna ręka rynku dlatego jest niewidzialna, bo nie istnieje. Ale cóż, jeśli odpływamy ostrożnie od owych mitów pod flagą „pragmatyzmu” – jest to podróż w dobrym kierunku.

Nie jest moim zamysłem podejmowanie jakiejś frontalnej polemiki z tezami artykułu prof. Nieciuińskiego. Jest to tekst poważny, zrównoważony w analizie i wnioskach, społecznie pożyteczny. Odpowiada mi zaprezentowany w nim sposób myślenia. Ograniczę się zatem do kilku uwag i znaków zapytania. Może okażą się użyteczne, skoro – jak mi wiadomo – tekst ów stanowi zapowiedź stanowiska zawartego w przygotowywanej, obszernej książce wytrawnego znawcy polityki społecznej (i polityki *tout court*).

Wydaje mi się trafny sąd, że gdy powstał „pierwszy niekomunistyczny rząd”, w wrześniu 1989 roku, istniała wiązka alternatywnych możliwości przeprowadzenia społecznej transformacji. Jest tak z reguły przy każdej zmianie społecznej, zarówno – by użyć terminologii Parsonsa – przy zmianie układu społecznej równowagi, jak i wtedy, gdy następuje zmiana społecznych struktur. Dopiero wybór jednego rozwiązania znosi lub ogranicza możliwości przyjęcia alternatywnych rozwiązań. Tak się właśnie stało w Polsce u progu zmian ustrojowych: przyjęcie „strategii Balcerowicza” rekomendowanej przez instytucje i ekspertów zza granicy bardzo ograniczyło możliwości realizowania formuły zapożyczonej od niemieckich ordoliberalów – „społecznej gospodarki rynkowej”. Proklamowano ją uroczyście w 1989 roku i bardzo szybko zwiędła.

Tu dwie uwagi do tekstu prof. Nieciuińskiego. Nie wydaje mi się zasadna sugestia, że już od początku przyjęto „konieczność tworzenia skrajnie liberalnej formy kapitalizmu”. Pewien wpływ idei socjalliberalnych (bez monopolu neoliberalizmu) można w początko-

* Tytuł od redakcji.

wym okresie transformacji odnaleźć, i nie tylko w dobrych intencjach ministra Kuronia. To ciekawy problem badawczy: jak „terapia szokowa” bezlitośnie ograniczyła szansę „społecznej gospodarki rynkowej”, nie niwecząc ich jednak od samego początku.

I drugi problem: czytelnik byłby zainteresowany poglądem Witolda Nieciuińskiego na temat najlepszego z możliwych rozwiązania alternatywnego. Czy istotnie „wspólne ustalenia Okrągłego Stołu” zawierały rozwinięty program takiego rozwiązania? Można mieć co do tego wątpliwości. Czy strategię polską powinna była kształtować ciekawa skądinąd, ale formułowana w innym kraju i w innej zupełnie sytuacji ordoliberalna teoria „społecznej gospodarki rynkowej”? Czy krytycy strategii Balcerowicza – tacy jak Grzegorz Kołodko – potrafili zaproponować *ex post* przekonujący program alternatywny? Oto pytania, na które wciąż warto szukać odpowiedzi, nawet narażając się na szyderstwa, jakie rodzi uprawianie tak zwanej historii alternatywnej.

Zresztą zarzuty owe miałyby nikłą wartość, tęgie głowy współczesnej historiografii cenią sobie takie symulacje.

Mam wątpliwości co do zasadności tezy autora, iż forma państwa kapitalistycznego znana jako *Welfare State* „przechodzi współcześnie do przeszłości, wypiera ją neoliberalizm”. Zupełne odejście od formuły państwa opiekuńczego spowodowałoby w krajach wysokorozwiniętych społeczne trzęsienie ziemi, z czego prawica dobrze zdaje sobie sprawę. Zachodzą natomiast – i będą trwać nadal – poszukiwania nowego wydozowania proporcji między programami społecznymi państwa a dynamiką nowoczesnego kapitalizmu i jej konsekwencjami. A to niełatwe zadanie.

Z większą jeszcze niż prof. Nieciuiński troską spoglądam na perspektywy społeczeństwa obywatelskiego i demokracji w euroamerykańskim (a więc i naszym) kręgu kulturowym. Oczywiście, bardzo wiele tu zależy od postępów edukacji i bogacenia społecznego kapitału kulturowego, a także od upowszechniania partycypacji politycznej obywateli, co od początku nowożytnej demokracji trafnie uznawano za jej fundamenty. Zachowuję jednak duży sceptycyzm wobec pięknej wizji Jürgena Habermasa o odrodzeniu masowej komunikacji społecznej: jest ona atrakcyjna, lecz i utopijna.

Nie wystarczy powtarzać stare, XIX-wieczne zawołanie: „Ciemnota nas zgubiła, oświata ocali”. I nie należy wierzyć, że polityczna apatia wynika współcześnie jedynie z frustracji spowodowanych masową biedą i żałosnym stanem klasy politycznej (jej brakiem sprawności z jednej, a cnoty z drugiej strony). W społeczeństwach zamożnych i dużo sprawniej niż Polska rządzonych bierność obywatelska także podmywa fundamenty demokracji. Zapewne ma rację niemiecki socjolog Ulrich Beck, gdy konstatuje, że w miarę zmniejszania się zagrożenia nędzą i deprywacją rośnie poczucie zagrożenia ryzykiem i chęć ustrzeżenia się przed nim. Znamienne, jak bardzo pojęcie tragedii sprywatyzowało się w społeczeństwach Zachodu. Zagrożenia spędzające ludziom sen z powiek nie mają wielkiego politycznego wymiaru, czyhają na nich na autostradzie i w groźnej diagnozie lekarskiej, na rynku pracy i przy spotkaniu z uzbrojonym bandytą, podczas powodzi i lawiny, które zabijają beztroskich urlopowiczów, a nawet na talerzu z wołowym befsztykiem. Owszem, w Ameryce stan taki w ostatnich dwu latach uległ istotnej i zrozumiałej zmianie.

W miarę słabnięcia namiętności ideologicznych i kłótni partyjnych (tęsknimy w Polsce za taką ewolucją) politycy demokracji zachodnich postrzegani są coraz częściej jako *risk managers*, fachowcy skutecznie chroniący obywateli przed falą indywidualnych zagrożeń. Być może taka ich rola będzie coraz wyraźniejsza w miarę słabnięcia tradycyjnych osłon jednostki przed deprimującymi zagrożeniami (są nimi rodzina i małżeństwo „póki śmierć nas nie rozłączy”, instytucjonalna religia i gorliwe religijne praktyki, silny i trwałe związki z zakładem pracy itd.). Triumf liberalnej wizji społeczeństwa jako „worka kartofli” (to Marks), jako zatimizowanego zbioru jednostek chowających się w swym egoizmie – nie powinien budzić entuzjazmu nawet samych liberałów (i coraz częściej nie budzi). W każdym zaś razie nie sprzyja on tak pożądanej partycypacji politycznej, kośćcowi demokracji.

I jeszcze jedno: należałoby głębiej rozważyć złe i dobre doświadczenia polskiej decentralizacji administracyjnej i samorządności, a w szczególności sens – czy raczej bezsens – naszej reformy administracji z 1999 r. Pogłębianie decentralizacji jest ryzykowne, ale jeszcze bardziej ryzykowne byłoby jej redukcja. Nie jest bowiem decentralizacja wrogiem regulacyjnej funkcji państwa, może się natomiast stać bezcennym sojusznikiem „repolityzacji” naszego społeczeństwa.